№ 7. Warszawa, dnia 2 (14) Lutego 1885 roku.

TYGODNIK MÓD i POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60, kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złotych reńskich 2 cen. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica Widok Nr 3.

TREŚĆ:

ALBERT WILCZYŃSKI.

AUTOR „KŁOPOTÓW STAREGO KOMENDANTA".

Od lat może dziesięciu głośnem się stało imię autora „Kłopotów starego komendanta". Spotykamy się z niem wszędzie: zarówno w edycyach książkowych, jak i w czasopismach. Autor stał się ulubieńcem publiczności i należy obecnie do najchętniej czytywanych. Autora „Kłopotów starego komendanta" znamy wszyscy, lecz co najdziwniejsza, iż większa część jego zwolenników nie zna owych „Kłopotów", o których przemilczeć nie można, gdy mowa o Albercie Wilczyńskim. Dla połowy przynajmniej czytelników, sympatyczny nasz pisarz nie jest Wilczyńskim, lecz autorem owych zapomnianych „Kłopotów".

Zjawisko to bardzo ciekawe i dlatego je notujemy, zaręczając, iż mówimy o niem na podstawie częstych i licznych spostrzeżeń. Sądzimy, że kilka słów o Wilczyńskim, będzie obecnie w porę i w nich znajdzie czytelnik objaśnienie spostrzeżenia powyżej zanotowanego.

Z górą ćwierć wieku temu, ukazała się na półkach księgarskich nowa książka. Było to dzieło trzytomowe p. t. „Kłopoty starego komendanta". Autora nie znano jeszcze, nie miał rozgłośnej sławy, więc i o książce niebardzo się rozpisywano, tem bardziej, iż w owych czasach krytyka literacka u nas drzemała najspokojniej. Ci, którzy książkę wzięli do rąk, musieli z niej być zadowoleni. Wszelkie warunki były po temu.

Forma świeża, język jędrny, zamaszysty czasem, czasem naiwny, gdy tego nastrój pewnego ustępu wymagał, fabuła zaciekawiająca. Humor zdrowy, swojski, tryskał z każdej karty. Czytelnik kłopotał się wraz z owym starem komendantem, który umiał komenderować niegdyś całą kompanią, potem kilkoma starymi inwalidami, ale nie mógł sobie dać rady z jedną młodą dziewczyną, nie znającą komendy i rygoru służbowego. Kłopoty starego weterana co chwilę wyrastają, a czytelnikowi nieraz śmiech łzy wyciska.

Mało jest w naszej literaturze dzieł tak obfitych w humor, jak owe „Kłopoty starego komendanta". Wszystko tu płynie swobodnie z pod pióra autora, bez wymuszenia; zda się, że nie książkę mamy przed sobą, lecz otwarte w świat okienko i patrzymy na ludzi żyjących.

Książka, pozwalająca zapomnieć o książkowej fabule — to najlepsza rekomendacya dla autora.

To też dzieło Wilczyńskiego rozeszło się po świecie, utonęło między ludźmi, darząc ich nieједną chwilą szczerej wesołości, ożywiając smutnych humorem rzetelnym, prostym, naturalnym. Żadnemu z czytelników tej książki, nie osiądzie chmura na czole, umysł nie zasępi się ani na chwilę, ból nie targnie serca.

„Kłopoty starego komendanta" są prawdziwą perłą humorystycznej naszej literatury.

Nie wątpimy, iż wielu z pierwszych czytelników owego dzieła, szukało później utworów tego autora — lecz nie znaleźli nic!

Wilczyński po wydaniu „Kłopotów starego komendanta" zamilkł, zniknął gdzieś z literackiego horyzontu. Długie lata nie przypominał się czytającej publiczności, więc nie dziw, że zapomniano o nim i jego doskonałem dziele, którego już brakło na półkach księgarskich. Tylko w domowych bibliotekach można je było znaleźć, lecz ta mała ilość nie wystarczała na utrzymanie żywej pamięci o autorze, który tak wiele dawszy na początek, zawiódł oczekiwania i nie dał więcej nic.

Powodu milczenia nie znano, nie wiedziano, że autor zajęty był innemi kłopotami, własnemi, których mu życie nie szczędziło. Osiadł na roli, łamiąc się z twardemi warunkami tej pracy, walczył długo i wytrwale na niwie ziemiańskiej, aż się doczekał końca tej walki i z zagona rodzinnego przeniósł się do miasta dalekiego, w którem ani on nie znał nikogo, ani też jego nie znano.

Wilczyński przeniósł się do Lwowa i został... urzędnikiem!

Odbywszy nowicyat monotonnej pracy biórowej, uczuł zapewne potrzebę czegoś więcej. Takie życie ślimacze nie wystarczało naturze czynnej, ruchliwej. Przypomniał sobie dawne lata, owe cza-

sy, kiedy w ciszy domowej pisał. Zapomniane „Kłopoty starego komendanta" uśmiechnęły się do swego autora ponętnie, zaczęły go wabić ku rozkoszom pisarskim, przypomniały mu, że przecież kiedyś był autorem i mógłby się znowu zabrać do pióra, a pewno nie zasiadłby na szarym końcu.

A gdyby tak posłuchać tego głosu, gdyby zjawić się znowu na widowni literackiej i zawołać: jestem!

Powiedział jeden z naszych poetów, że kto raz zacznie „gęsią orać", już nigdy nie oderwie się od tego pługa.

Na Wilczyńskim się to sprawdziło. Po długiem milczeniu zabrał się znowu do pracy literackiej.

Miał teraz więcej materyału, więcej doświadczenia życiowego, toż się tyle na ludzi napatrzył, tylu ich znał, tyle ciekawych przygód widział. Życie ziemiańskie, to bogata kopalnia faktów i spostrzeżeń, wyzyskiwana ciągle przez piszących, a niewyzyskana nigdy do dna.

Wilczyński zebrał na tem polu doświadczeń niemało. Odświeżał więc wspomnienia, ożywiał je humorem i kreślił obrazki wdzięczne, miłe, uśmiechające się, chociaż nie brak w nich było strony poważnej.

Podpisywał się autorem „Kłopotów"; jakby chcąc być wiernym temu mianu, najczęściej o kłopotach pisał. A znał ich niemało, bo gdzież się ich można więcej napatrzeć, jak w życiu ziemiańskiem?

Kłopocze się każdy rolnik, walcząc z siłami przyrody, sąsiadami, robotnikami, ze sobą samym, a co najważniejsza z ciągłą potrzebą pieniędzy, których siać i w strokrotnym plonie zbierać nie można.

Pełno więc takich kłopotów spotykamy w obrazkach Wilczyńskiego, a wszystkie opowiedziane są ze ścisłością fotograficzną, wiernie, prawdą przekonywające.

Jedną wybitną właściwość mają opowiadania Wilczyńskiego. Pełno w nich kłopotów, a jednakże nigdy nie zamącą spokoju czytelnika, nigdy go nie zasępią, przeciwnie, tryskając humorem bawią go i rozweselają. Nie rzadko pobudzą do poważnych refleksyi, ale dzieje się to nieznacznie, bez intencyi autora, ot tak samo z siebie. Ani się można spostrzedz, kiedy myśl odbiegnie od książki i poważnie o życiu pocznie sądzić. Pierwsze wszakże przypomnienie fabuły opowiadania, wywołuje uśmiech, budzi szczerą wesołość.

Ta pogoda, rozlewająca łagodne światło po nad wszystkiemi obrazkami Wilczyńskiego jest siłą, która pociąga czytelników, która w krótkim przeciągu czasu uczyniła go ulubieńcem publiczności, nie lubiącej goryczy i łez, aż do zbytku wylewanych po kartach powieści i romansów.

Pod tym względem jest Wilczyński zupełnie oryginalnym pisarzem i temu zawdzięcza rozgłos i sympatyę, która jego prace otacza. Do kart jego powieści musimy się uśmiechać, czytamy je i kończymy zawsze z zadowoleniem. A to zaleta nie mała.

Obrazki Wilczyńskiego nie wywołują zniechęcenia, nie drażnią ani sytuacyami, ani fantastyczną charakterystyką. Są to poprostu wizerunki życia takiego, jakiem ono jest istotnie.

Autor nie sili się bynajmniej na sztuczną fabułę do swych opowieści. Zręcznie ją nawiązuje, reszta sama już płynie tak, a nie inaczej, bo na to nie pozwoliłaby logika rzeczywistości. Jesteśmy przekonani, iż większa część tematów powieści Wilczyńskiego, zaczerpnięta jest z faktów rzeczywistych, autorowi znanych. On ich nie szukał, lecz w długiem życiu natknął się na nie i zapamiętał, nie myśląc nawet, że kiedyś te reminiscencye posłużą mu do napisania tego lub owego obrazka.

Talent pisarski zatarł zbyt szorstkie kontury realnej prawdy, wykreślił powszedniość, a zostawił to tylko, co do charakterystycznego malowidła było nieodzownem.

Taką jest geneza twórczości Wilczyńskiego, a znać to na każdej jego powieści. I to jest właśnie, co nas tak pociąga, bo nigdy żadna fabuła wymyślona, wysnuta z rozgorączkowanej fantazyi autora, nie ma i nie może mieć tego uroku, który z samej natury rzeczy ma prawda.

Czytając powieści Wilczyńskiego, mimowoli szukamy w pamięci, czyśmy nie byli świadkami takiego, lub bodaj podobnego zdarzenia. Nigdy nie zadamy sobie pytania: czyż to, lub owo jest możliwem?

Toż samo dzieje się i z postaciami tych powieści. Mają one plastykę skończoną, kontury wyraźne, silne, oświetlone są jasno światłem rzeczywistości i prawdy. I tych ludzi chyba widzieliśmy kiedyś na świecie, bo Wilczyński zbierając wzorki z licznych jednostek, przedstawia nam typy.

Autor „Kłopotów starego komendanta" nie jest analitykiem, życia naszego nie rozbiera, nie rozczłonkowuje, nie stawia hipotez i fabuły nie nagina do pewnych z góry przypuszczanych wniosków.

Przeciwnie, trzyma się zawsze i wszędzie metody syntetycznej; zbiera typy, charaktery, stawia je w naturalnych sytuacyach, nie nakręca maszynki życiowej, lecz pozwala swym postaciom działać, jak im się podoba. A jeśli z tego wyniknie sens moralny, jeśli na końcu powieści dałyby się postawić jakie wnioski — to już nie rzecz autora. On swoje zrobił i umywa ręce. Pokazywał nam ludzi i ich życie — a nam wolno snuć myśli na temat tego życia, wolno wyciągać nauki, przestrogi i wskazówki. Autor nam nie podpowiada w tym monologu.

Metoda to bardzo dobra i chyba najskuteczniejsza, gdzie idzie o istotne skierowanie uwagi na pewne wady i błędy, których zbyt wiele w danem społeczeństwie się zakorzeniło. Autora-kaznodziei czytelnicy nie lubią, nazywają go nudnym moralistą. Wolą takiego wiernego fotografa życia i ludzi, jakim jest Wilczyński.

I mają słuszność.

Dla nas mają dzieła Wilczyńskiego wartość fotografii obyczajowych i skarbnicy zdrowego humoru. Światło dzienne po nad tem wszystkiem się unosi. Półświateł i półcieni artystycznych Wilczyński nie zna i nie używa ich. Tem trwalsze wrażenie zostawiają jego obrazy w pamięci czytelnika.

Że się z nich wiele można nauczyć — to pewna.

Ed...d.

Z IMIENNIKA.

(Fraszka.)

Czego najbardziej na świecie szkoda,
Pytasz mię? trudne pytanie,
Jesteś dziś piękna, urocza, młoda,
Lecz czy tak zawsze zostanie?

Krew ci się w żyłach żarem purpurzy,
Wzrok, iskier snopy promienne
Rzuca — jak chmurki, zwiastuny burzy,
W których tkwią gromy półsenne.

Głos twój czaruje, jak srebrny dzwonek,
Pieści w uścisku dłoń miękka...
Tak minie setny... tysiączny dzionek;
Potem... łzy przyjdą — ból — męka!

Potem — gdy barwne złudzeń kobierce,
Spławią przeciwność — czas — moda —
Gdy duch osłabnie — umilknie serce —
Powiem: najbardziej ich szkoda!

Wzięłaś w dłoń różę? wonią oddycha,
Wzrok się jej wdziękiem nie nuży,
Patrz! nagle zbladła, więdnie — usycha...
Najbardziej szkoda tej róży.

. . . .

Świat tak szeroki! po nim bogaci,
Biedni — ot, mrówek rój krąży;
Jedno się życie stem innych płaci,
Nim ku celowi dojść zdąży.

Uśmiech — powodzią łez; krwi potoki
Pochłania ludów czcza zgoda;
Wstają i giną wraz ich proroki...
Łez — krwi — proroków tych szkoda

Najbardziej!
Słońce uroczo świeci,
Komu? daremnie czy próżno?
Nie wiem. Z niem jedni, jak z cackiem dzieci
Igrają. Drudzy — podróżną

Przestrzeń, pod jego mierzą ochroną;
Blask, sił — wytrwania im dodał...
Aż buchnie pożar — spopieli łono...
Gasnących w blasku mi szkoda!

Patrz! tam gladyator nowy — bez zbroi —
Duch boży pierś mu pancerzy;
Krwawy, lecz w cyrku życia dostoi,
Bo razem kocha i wierzy.

Czoło mu chłoszczą gromy, jak biczem...
Z lica lśni niebian pogoda,
Niezwyciężony!...

. . . .

Z żalu, po niczem
Może — sam upadł... ah, szkoda!

Wszystkiego tedy i wszystkich?
Ślady
Strat ciężkich liczę wciąż hardziej...
Dałbym ci jeszcze setne przykłady.
Lecz czego szkoda... *najbardziej?*

Doprawdy nie wiem. Może i ciebie,
Mnie, innych... wszystkich nas razem.

Do koła głucho — pustkowie — ciemnie
Bledniesz — drżysz? Piękna i młoda,
Wiem: kochasz, cierpisz, ale... daremnie!
Cierpień, miłości twej... szkoda!

Zygmunt Grabowski.

KWIACIARKA.

(Z hiszpańskiego.)

O wschodzie słońca złocistym,
Ja cię ujrzałem — niestety,
Gdyś w swym ogrodzie wzorzystym,
Z róż układała bukiety.

A skorom ujrzał raz ciebie,
Kroki me wciąż tam zwrócone,
Chcę widzieć w oczu twych niebie,
Serce me — serce zgubione.

Ah! tyś znalazła je pewno,
Jam je tu zgubił dziś z rana;
Oddaj mi serce, królewno,
Oddaj, kwiaciarko kochana.

A. de Trneba.
(Tłom. A. L.)

NA DRODZE I BEZDROŻU.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

PRZEZ

E. Zoryana.

(Dalszy ciąg.)

Dla formy trzeba się było zapisać na uniwersytet, ale o uczęszczaniu na wykłady nie było nawet mowy; Alfred już teraz nie miał ani chwili wolnego czasu. Miłość podsycana zazdrością, absorbowała go zupełnie.

Ojciec zachęcał do nauki, a od matki przychodziły listy smutne; resztę donosiła siostra. Matka zapadała co raz bardziej na zdrowiu.

Ile razy dostał list z zagranicy, smutniał Alfred, bo matkę kochał... ale wnet smutek rozpędzały uśmiechy kochanki... jej pocałunki ogniste, namiętne.

Alfred miał lat dwadzieścia dwa, a pierwsze uściski kobiety pochłaniały go całego — na smutki brakło mu czasu. Nie zastanawiał się też wcale nad listem ojca, który mu donosił krótko, że „musi jechać do chorej matki za granicę." Wprawdzie ojciec jeździć nie lubiał, lecz to jeszcze niczego nie dowodziło.

Zresztą z kimże tu o tem było mówić? Z Kocią naturalnie nie... a ciocia Bilska, chociaż Zagórskich lubiała, nie przypuszczała wcale, ażeby im miało grozić jakie nieszczęście. Wszak matka Alfreda nie była starą i nigdy nie chorowała.

Aż tu pewnego dnia dostaje pani Bilska list od Helenki wcale nie wesoły:

„Mama od dwóch tygodni nie powstaje z łóżka i co dnia ma się gorzej. Lekarze nie mówią o niebezpieczeństwie, ale też nie umieją określić choroby. Powiadają, że to brak sił, a mama co dnia szczuplejsza. Zmieniła się okropnie i prosi, ażeby Alfredowi nic nie pisać. Ojciec strasznie zgnębiony, sam pióra do rąk wziąć nie może. Niech ciocia Alfreda uspokaja, gdyby się pytał o wiadomości od nas..."

Ale Alfred wcale się nie pytał. Gorączka miłości ogarnęła go zupełnie. Czekał na powrót ojca, bo... potrzebował pieniędzy. Nie chciał wszakże pisać, sądząc, że ojciec rychło powróci.

Wreszcie dostał list od siostry:

„Drogi bracie — pisała — wiemy, że trudno ci przerywać studya, ale możebyś mógł na tydzień bodaj do nas przyjechać. Mateczka, która jest ciągle chora, ucieszyłaby się bardzo. Zrób to, proszę cię i nie zwlekaj."

Myśl takiej przejażdżki uśmiechała się Alfredowi, ale... bardziej uśmiechały mu się oczy pięknej aktorki. Zresztą nie miał pieniędzy, więc nie spieszył się.

— Nie miałeś listu od ojca, lub siostry?—zapytała raz ciotka.

— Owszem, pisała do mnie Helenka i prosi, abym do nich przyjechał.

— Więc pojedź...

— Tak radbym, ale...

Pani Bilska wiedziała, że matka jest już bardzo chora, zdziwiła ją więc odpowiedź Alfreda.

— Nie chcesz jechać? — zapytała.

— Najchętniejbym pojechał, tylko...

— Mówże szczerze.

— Nie mam pieniędzy.

— To najmniejsza, dam ci dziś jeszcze i jedź.

— Dziękuję cioteczce, ale to nic pilnego. Ojciec przyjedzie i da mi na drogę.

— Ależ nudny jesteś, mój Fredziu, nie odkładaj nigdy nic na później. Jedź zaraz, a z ojcem powrócisz.

— Dobrze więc.

Dostawszy pieniądze, zabawił Alfred jeszcze parę dni, dla miłej aktorki, której w hołdzie złożył połowę swych funduszów w postaci pierścieni i tym podobnych cacek... dla pamięci.

Ciężko mu było rozstawać się z kochanką pierwszych dni młodzieńczych. Zbyt go ta pierwsza ponęta przykuła do siebie. Cały się jej oddał, jak zwykle czynią młodzi.

— Wrócisz wnet? — pytała.

— Czyż mógłbym bez ciebie żyć?! Ale czy ty będziesz o mnie pamiętała?

Odpowiedziała pocałunkiem, bo pocóż słów, gdy dwa serca tak dobrze się rozumieją...

Tę scenę pożegnania, przypominał sobie Alfred w wagonie ciągle, smucąc się, to ciesząc na przemiany.

Podróż zajęła jego fantazyę. Była to pierwsza dalsza podróż.

Wreszcie stanął na miejscu. Wskazano mu ulicę i dom. Spieszył do chorej matki, dla której serce odezwało się.

Ujrzał domek mały, w ogródku, niby dwór ich wiejski. Cisza była dokoła, wieczorny wietrzyk rozsiewał upajającą woń kwiatów. Pierwsze gwiazdy pokazywały się na niebie. Tak tu pięknie, uroczo było, że zapomniał o wszystkiem... nawet o Lwowie.

Odchylił drzwi do sieni.

Pusto.

Nie wiedział w którą stronę się zwrócić. Wszedł do pokoju na prawo.

Dwie świece rzucały słabe światło na pokój. W głębi spostrzegł jakąś postać kobiecą w czarnej sukni.

Podniosła się i z płaczem głośnym rzuciła mu się na szyję.

Była to Helenka.

Nie rozumiał co to znaczy. Patrzał na jej strój żałobny.

— Matka?... — zapytał.

— Nie żyje...

Zadrgało mu w piersiach, nie wiedział czy to sen, czy jawa. Przetarł oczy i głucho powtórzył:

— Umarła!?...

Siostra płakała, a i jego oczy zaszły łzami. Ta niespodzianka odebrała mu przytomność. Uczuł ból szalony w piersiach.

— Nic mi nie pisałaś...

— Wszak prosiłam, abyś przyjechał, już dwa tygodnie temu...

Spóźnił się.

— Kiedyż umarła?

— Wczoraj był pogrzeb... Nie dostałeś telegramu?

— Byłem już w drodze.

Nie przeczuwając nic złego, zabawił dwa dni we Wiedniu.

Łzy puściły mu się strumieniem.

— A ojciec? — zapytał po chwili.

— Chory.

Powstał szybko.

— Prowadź mię do niego.

W długim, wązkim pokoju, leżał Zagórski, zmieniony tak, że go syn nie mógł poznać. Twarze zapadły się, gorączka wypaliła na nich rumieńce, oddech miał krótki, urywany. Przy nim siedział Włodzimierz, na którego obliczu wyrył się wielki smutek.

Podał w milczeniu rękę Alfredowi i dał znak, aby usiadł.

Ojciec spał.

Po kilkunastu minutach obudził się.

— Przyjechałeś... — wymówił cicho.

Alfred zaczął go całować po rękach; łzy gorące toczyły mu się po twarzach.

Ojciec był ciągle milczący. Kiedy usnął, wyszli z pokoju.

— Co mu jest? — zapytał Alfred.

— Nikt z nas tego nie wie. Podobno zaziębił się jeszcze w podróży, zmartwienie go dobiło.

— Czy choroba niebezpieczna?

— Lekarze powiadają, że nie. On sam prawie nic nie mówi. Czasem tylko płacze...

— Trzeba radzić się najlepszych lekarzy.

— Robimy to, ale ojciec nie chce słuchać nikogo, lekarstwa do ust nie weźmie.

— Ależ to okropne.

— Mamy nadzieję, że go siły dźwigną...

Istotnie w parę dni potem, Zagórski wstał z łóżka, pomimo próźb dzieci i perswazyi lekarzy.

— Dajcie mi pokój... jeszcze mam dość sił, aby powrócić do domu.

— Ależ drogi ojcze, najpierw trzeba się wyleczyć zupełnie...

— Nie chcę tu umierać, muszę wracać do mojej ziemi. Niech tylko pozwolą zabrać zwłoki.

Dzieci prosiły, lecz daremnie.

W dwa tygodnie potem, wysłano zwłoki ś. p. Zagórskiej, a następnego dnia ruszono w podróż.

Ojciec, podtrzymywany gorączką, szedł o własnych siłach do wagonu, uśmiechał się do dzieci i cieszył widocznie, że wraca do swej wioski rodzinnej.

Zatrzymywano się dwa razy w drodze dla wypoczynku, chociaż ojciec naglił. Chcieli jeszcze radzić się lekarzy, lecz na to nie pozwolił.

— W Krakowie zostańmy dzień jeden — prosiła Helenka.

— Nie, nie, mnie pilno do domu.

Pociąg czekał w Krakowie pół godziny. Ojciec z wagonu nie wysiadał wcale. Nie chciała go też opuszczać córka. Tylko Alfred poszedł do restauracyi. Kazał zanieść śniadanie do wagonu, sam usiadł przy stole, pijąc herbatę.

Nagle porwał się z krzesła, jakby go co w górę wysadziło.

Przez salę przechodziła kobieta, wsparta na ramieniu słusznego mężczyzny.

Była to — Kocia, piękna jak pokusa, uśmiechnięta jak szczęście. Zobaczywszy Alfreda, skinęła mu lekko głową i poszła dalej. Wybiegł za nią i ujrzał wsiadającą do wagonu wraz z towarzyszem. Uderzono w dzwonek — uśmiechnięta Kocia mignęła przed oczyma swego dawnego kochanka. Pociąg jechał do Warszawy...

Stał chwilę, nie wiedząc co się z nim dzieje. Sen to, czy jawa? W uszach mu szumiało, w głowie czuł zamęt nie doopisania. Myśli tłoczyły się gwałtownie, bez ładu.

Jedno tylko zrozumiał... Został zdradzony, porzucony!

Za co? — pytał sam siebie, porządkując myśli. Czyż jej nie kochał, nie poświęcał najpiękniejszych dni młodości?... Dla niej porzucił nauki, zaniedbywał towarzystwo, do którego należał, zaniedbywał rodzinę nawet...

Ta myśl ból mu sprawiła okropny.

Tak, przez tę kobietę, którą tak kochał gorąco, spóźnił się nawet do matki... nie zastał jej już na ziemi, nie mógł otrzymać błogosławieństwa umierającej.

To okropne.

Zdawało mu się, że zmysły straci.

Uderzyły dzwonki.

Alfred oprzytomniał. Przetarł czoło dłonią, rozejrzał się dokoła i zwolna podążył do wagonu.

Milcząc usiadł obok siostry.

Pociąg ruszył.

Helena spojrzała na brata, potem na męża i znowu oko jej spoczęło na bladej twarzy Alfreda. Od kilku dni patrzała na jego smutek, lecz w tej chwili zmiana była zbyt widoczna, ażeby jej mogła nie dostrzedz.

Alfred nie widział spojrzeń siostry, nie widział nic, nie wiedział pewno co się z nim dzieje, gdzie się znajduje.

Pociąg pędził szybko, monotonny turkot kół zdawał się usypiać Alfreda. Zamknął oczy, lecz nie spał. Myśl jego goniła w przeszłość.

Przypominał sobie dnie niedawno minione, dnie tak piękne, pełne rozkosznych uśmiechów. Był zupełnie szczęśliwym, niczem się nie troszczył, niczem na seryo nie smucił. Kochał i był kochanym.

Tak mu się przynajmniej zdawało... a to na jedno wychodzi, jednakie szczęście daje na chwilę.

Przypomniał sobie teraz, jak błogo używał rozkoszy pierwszej miłości... jak mu się życie uśmiechało... Straszny ból chwycił go za serce. Jęk jakiś głuchy wydobył się z piersi.

Helena usłyszała to, spojrzała uważnie na brata, lecz ten znowu był spokojny, twarz miał niby senną, oczy zamknięte.

Tłumił w sobie ból, wywołany wspomnieniami. Rozgoryczał się tylko i począł żałować, że wierzył kochance, że był tak ślepym i zaufał tej, której najmniej powinien był wierzyć. Wszak to aktorka, pomyślał, a czyż kobieta tego gatunku, czy zawodu może kochać? Możesz aktorka być stałą i wierną?

Przypominał sobie romanse, których tyle czytał i to, co w nich autorowie o aktorkach mówili. On to wszystko czytał i nie wierzył! Nie mógł sobie tego darować.

Ale trudno; młodość niedoświadczona ma także pewne prawa. Zbyt ufa własnym siłom, zapala się wiarą i składa ją na byle jakim ołtarzu.

Jedna myśl uparcie krążyła mu po głowie: dlaczego został porzuconym?

Czyż nie kochał gorąco, czy nie objawiał tej miłości dostatecznie, czy dał powód do niezadowolenia?

Nie.

A jednak, ona to uczyniła i to w chwili tak dla niego smutnej. Wszakże wiedziała dokąd jedzie i dlaczego... powiedział jej szczerze... a jednak...

To ohydne, nikczemne!

Alfred zagoryczał się myślami coraz bardziej, wzbudzał w sobie pessymizm, którego dotąd nie miał.

Znienawidził kobiety, pogardzał niemi, żałował każdej okruszyny wiary i miłości, którą kiedyś miał dla tej płci pięknej, a tak niegodziwej. Jedną znał tylko bliżej, ale ta jedna wystarczyła mu za wszystkie, podług niej cały świat kobiecy osądził. Poprzysięgał sobie już nigdy nie kochać, nigdy nie ufać... lecz bawić się tylko.

Cierpienia nie mógł od razu z serca wyrugować. Ból ciągle go dręczył, nękał, odbierał spokój i swobodę myśli.

Helena patrząc na brata, nie domyślała się, co mu jest istotnie, sądziła, że to żałoba po stracie matki, tak mu osiadła na duszy. Sama była bardzo smutna, więc i jego smutek rozumiała, odczuwała głęboko.

Alfred nie tłomaczył nikomu smutku i milczenia. Potrzebował spokoju i szukał go na wsi. Po paru tygodniach zdawał się uleczonym.

Zaczął się rozglądać dokoła, szukać czegoś — sam nie wiedział czego. Nudziło mu się w cichym dworku, pragnął rozrywki, życia gwarnego. Z dnia na dzień odkładał postanowienie — wreszcie zdecydował się wyjechać, ale już nie do Lwowa, lecz do Wiednia. Miał tam kończyć nauki.

Siostra i szwagier nie sprzeciwiali się, owszem, radzi byli, że ocknął się z letargu, że znowu powróci do pracy rozpoczętej.

Ojciec do niczego się nie wtrącał. Rzadko tylko można było usłyszeć słowo z ust jego.

Nic więc nie stało zamiarowi Alfreda na przeszkodzie.

Pojechał.

We Lwowie nie wstąpił nawet do ciotki Bilskiej. Nie chciał widzieć nikogo. Pilno mu było wyrwać się z pośród tych ludzi, którzy mu mogli przypomnieć niedawną przeszłość, pełną cierpień.

Wstydził się zawodu i zdrady pierwszej kochanki...

III.

Był wieczór cichy, majowy. Świeża woń kwiatów płynęła na fali lekko poruszającego się powietrza, którego tchnienie pobudzało do życia, krzepiło znękanych długą zimą: ziemię, przyrodę i ludzi. Chłód nieznaczny, orzeźwiający, przewiewał po nad pola, ogrody i łąki; po niebie jasnem, przejrzystem posuwał się księżyc spokojnie, jednostajnie. Promienie jego, jak snopy jasne, zsuwały się na ziemię, kołysały się w wodach, srebrzyły liście drzew, przemykały się pomiędzy gałęzie, kreśląc na trawnikach i ścieżkach, białe arabeski.

W ogrodzie Strzałkowskim pełno było kwiecia i woni, aleje zacieniły się grubem poszyciem liści, słowik śpiewał gdzieś w odległej gęstwinie, zresztą cisza panowała wielka.

Naprzeciwko werandy, na brzozowej ławce siedziało dwoje ludzi. Był to Włodzimierz i Helena. Wpatrzeni w siebie milczeli, wystarczała im rozmowa oczu.

O czemże mieli mówić? Za parę miesięcy przypadała już rocznica ich ślubu, a oni nic się nie zmienili, nie postarzeli się, tylko miłość ich stała się jaśniejszą, silniejszą, tylko smutek pobielił im twarze, od czasu śmierci matki. Włodzimierz odczuwał tę boleść tak samo, jak żona jego, bo ją kochał, a kochał tem silniej, że teraz musiał dla niej być wszystkiem: ojcem, matką i bratem... Matki nie miała, ojciec cały pogrążony w smutku, ciągle był milczący, brat pojechał na dalsze nauki do Wiednia.

Byli prawie sami, rzadko weseli, bo patrzeć musieli na smutek ojca, który nie żalił się wprawdzie nigdy, ale coraz bardziej zapadał na zdrowiu, a jednak byli szczęśliwi, tem szczęściem, które tylko miłość małżeńska dać może. Byli dla siebie wszystkiem, światem całym.

Pochyliła głowę na jego ramię, dłonie ich splotły się, oczy mówiły o wielkiej a cichej, spokojnej miłości. Pierś jej podnosiła się wolno, usta odchylone czerpały świeże powietrze, które drgało życiem i wonią wiosenną.

Dotknął ustami jej białego czoła, przytulił ją do siebie, obejmując w pół i mówił cicho:

— Może ci chłodno, chodź już do pokoju.

Wsparta na jego ramieniu wstała i zwolna po stopniach wchodziła na werandę. Przez otwarte drzwi wypłynęła żółta smuga światła, obrzuciła blaskiem ich postacie i zarysowała ostrymi kontury cień, który łamiąc się na schodach, spadał aż na jasny piasek, ścielący się u podnóża stopni.

Weszli do małego saloniku.

Helena ocknęła się z zadumy, czy marzenia.

— Zobaczę co ojciec robi.

— Chodźmy razem, może go rozweselimy rozmową.

Otworzył drzwi do sąsiedniego pokoju, był pusty.

— Nie ma go...

— Nie widziałam ażeby wychodził.

— Trzeba się służby zapytać.

Na głos dzwonka wszedł służący.

— Czy starszy pan wyszedł?

— Tak jest...

— W którą stronę?

— Ku cmentarzowi.

— Znowu—szepnęła Helena, a oczy jej zamgliły się łzą.

— Pozwól, moja droga, pójdę po ojca...

— I ja z tobą.

— Zmęczysz się, to spory kawałek drogi; chłodno jest...

— Proszę cię...

Spojrzał w jej jasne oczy i wymówił łagodnie:

— Może ci zaszkodzić...

— O, nie, pójdę z tobą.

Nie mógł jej odmówić, przyniósł zarzutkę i poszli ścieżką przez łąki.

Wkrótce ukazał im się w blaskach księżyca wiejski cmentarzyk, pełen czarnych, pochylonych krzyżów, pomiędzy którymi tu i owdzie tylko bie-

lił się grobowy kamień. Przez środek biegła dróżyna zarosła, ku małej kaplicy. Był to grobowiec rodziny Zagórskich. Wejście do kaplicy zamykała żelazna krata, po której złoceniach igrały teraz srebrne promienie księżyca.

Na kamiennych schodach przed kratami klęczał Zagórski, oparłszy głowę o zimne żelazo. Białe włosy w bladem świetle nocy tworzyły niby aureolę, a pochylona postać zdawała się posągiem żalu i pokory.

Nie słyszał zbliżających się, dopiero ciepła dłoń córki obudziła go z zamyślenia.

Powstał. W oczach miał jeszcze łzy, a pierś wydała ciche, głębokie westchnienie.

— Byliśmy tak niespokojni...

Przycisnął córkę do siebie.

— A ja tu znajduję spokój...

— Nie rób tego ojcze — prosiła Helena.

— Daj pokój, moje dziecko, mnie tu dobrze, najlepiej...

— A z nami?

— O, ty wiesz, że was kocham — zaprotestował ojciec z pośpiechem, ściskając dłoń Włodzimierza — alem ja stary, straciłem wiele. Helenka ma już drogę do życia utorowaną, ma opiekę najlepszą, a mnie tęskno do mojej...

— Nie mów tak ojcze. Wola to boska, a ty z nami żyj, dla naszego szczęścia, a może w niem znajdziesz i dla siebie trochę uciechy.

— Mam ją, mam, ale załatwiwszy na ziemi wszystko, spieszę się tam, gdzie ona jest...

Zamilkł, a dzieci nic już nie mówiły także. Znali ten ból wielki od dawna, ból, który podciął silnego mężczyznę od razu, że go już nic dźwignąć nie mogło. Widział Helenkę szczęśliwą, zabezpieczoną opieką męża, cóż więc pozostawało mu na ziemi?

A syn?

Tego kochał kiedyś bardziej aniżeli córkę, upatrywał w nim wszystko najlepsze, ale dziś już tę wiarę stracił. Przeczuł, że Alfred marnieje, a nie miał mocy do poprawienia go. Utrata żony pozbawiła go wszelkich sił żywotnych, a do tego kilka prób z synem, przekonały go, że trud byłby zbytecznym. Chłopiec zaufany w sobie, nie słuchał rad niczyich. Mówił o nauce, której ojciec nie rozumie — bo jej nie widzał — a w istocie próżniaczył. Na wsi usiedzieć nie mógł, bo się nudził. Po śmierci matki smutny był długo, zniechęcony do życia i pracy... Apatya owładnęła nim ogromna i czasem tylko zakipiało coś wewnątrz — to wspomnienie tego, co widział na dworcu w Krakowie.

Nie zwierzał się nikomu, bo dlań wszyscy byli za mali, zdawało mu się, że go nie potrafią zrozumieć.

Ojciec znękany i chory zamilkł, Włodzimierz odezwał się z radą, która wywołała burzę. Zdawało się Alfredowi, że ma wrogów koło siebie, więc uciekł co prędzej z domu. Pozorem podróży były studya.

Życie w Strzałkowie zacichło, posmutniało, a ozlacał je tylko promień szczęścia Helenki, czasem wesołość przywiózł ojciec Włodzimierza.

Aż nadszedł dzień, w którym dwór cały się ożywił, uciecha zapanowała ogólna, nawet na ustach starego Zagórskiego zjawił się przelotny uśmiech, oczy jego zapadłe w głąb, zajaśniały radością. Głośny śmiech Chodeckiego objął się o ściany wszystkich pokoi, Włodzimierz promieniał i cieszył się jak dziecko, na bladych twarzach Heleny malowała się radość, czasem nawet rumieniec pokazywał się na nich, na przekór chorobie, która kazała spoczywać na białej pościeli. Koło łóżka pani Włodzimierzowej stała kołyska; w pośród śnieżystych muślinów i koronek świeciło dwoje czarnych oczu.

Pan Chodecki co chwilę porywał Włodzimierza w ramiona, ściskał go, całował, śmiał się i wołał:

— Mamy królewicza, mamy!..

To znowu na palcach wchodził do sypialni synowej, przyciszał głos i całował matkę swego wnuka po rękach.

W dwa tygodnie potem odbyły się chrzciny małego Józefa Włodzimierza. Młoda mateczka była piękną jak nigdy, a ojciec jej tego dnia nie chodził na cmentarz, ożywił się trochę, pieścił malca i serdecznym uściskiem odpowiadał na uściski Chodeckiego.

— Dziękujmy Bugu i prośmy o szczęście dla nich — mówił Chodecki, wskazując syna, synowę i wnuka.

— Oni będą szczęśliwi — odpowiedział z wiarą Zagórski.

— Włodku — wołał Chodecki do syna — pamiętaj, abyście byli szczęśliwi!

— Będziemy kochany ojcze.

— Pamiętaj, bo inaczej...

— Co?

— Inaczej ze mną sprawa. Ty musisz być szczęśliwym, aby ona była szczęśliwą, aby...

— Ono było szczęśliwe...

— Żart żartem, a ze mną nie ma żartów. Chodeccy wszyscy muszą być szczęśliwi...

— Będziemy się starali — mówił syn z uśmiechem — reszta w ręku Boga.

— Dobrze, dobrze, a wychowaj mi chłopaka porządnie...

— Tak, jak ty ojcze, wychowałeś swego.

— Mądryś!

— To ojca zasługa.

Kilka osób z sąsiedztwa, zaproszonych na chrzciny, winszowało rodzicom i dziadkom. Pan Zagórski mówił wprawdzie mało, lecz widoczna w nim była znaczna zmiana, sił mu niby przybyło.

Tylko Alfreda tu brakło, chociaż siostra zawiadomiła go o tak ważnym wypadku i nawet prosiła w kumy. Nie przybył i nie tłomaczył się wcale. Napisał list krótki, niezbyt czuły, widocznie skreślony w pośpiechu.

Ale w pośród ogólnej uciechy, zapomniano o tej przykrości. Nie wspomniano o nieobecnym, ażeby ojca nie rozdrażniać, który od pewnego czasu niechętnie słuchał o Alfredzie. Czuł żal do niego, chociaż nic prawie o nim nie mówił. Na listy każał odpisywać Włodzimierzowi, on też posełał pieniądze, o które szwagier często prosił.

I znowu płynęły w strzałkowskim dworze dnie cicho, jednostajnie, tylko już weselej. Młody panicz rósł szybko, zdrów był, więc cieszyli się rodzice, ale równie przyczyniało się do ich radości i to, że ojciec zaczął powoli odmieniać się. Był teraz zdrowszy, nawet weselszy. Już nie widziano w jego oczach łez, rzadziej chodził na cmentarz i króciej tam bawił.

Gospodarstwo zdał na Włodzimierza, za to sam miał inne zajęcia, musiał piastować wnuka. Helena rada była temu bardzo, bo był czas, kiedy się seryo obawiała o ojca. Dziś zdawało się, że niebezpieczeństwo minęło.

Spostrzeżeniami temi dzieliła się z mężem w długich, wieczornych pogadankach, lub z jego ojcem, który ich często odwiedzał.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

O IMIONACH KOBIECYCH OBCYCH.

Przełożyła z angielskiego

E. Franklin.

Każde imię ma pewien początek; dla wielu nieznany, a jednak ciekawy, to też sądziliśmy, iż nie jedna z czytelniczek z przyjemnością spotka się tu ze swojem imieniem—i że ją zainteresuje zkąd ono pochodzi, co oznacza a także, jak brzmi w innych językach i około jakiego czasu zaczęło wchodzić w użycie. To było pobudką do skreślenia niniejszego spisu i opatrzenia go krótkimi komentarzami.

Zaczynamy tedy bez wstępu:

Adamina, pochodzi z hebrajskiego, przerobione z imienia męzkiego *Adam*, znaczenie jego jest *ziemia*, rok 1045. Zdrobniałe *Ada* i tak też znane w innych językach.

Adela, *Adelina* lub *Adeliza* pochodzi od staro-niemieckiego imienia *Adel* albo *Ethel*; znaczy *szlachetnie urodzona*, rok 1066.

Adelaida imię staro-niemieckie, znaczy *pogańska królowa*, zaczęło wchodzić w użycie około dwunastego wieku.

Adriana imię łacińskie, przerobione z męzkiego *Adrian*. Po francuzki brzmi ono także Andrée, lub Andrea.

Agata z greckiego *Agatha* znaczy *dobra*; rok 1150.

Agnieszka, pochodzi z łacińskiego *agnus*, jagniątko, rok 1102. Po francuzku *Agnès*, po hiszpańsku *Ines*, po portugalsku *Inez*, po staro-angielsku *Annis*, w ks. Walii *Nêst*.

Agrypina, z greckiego, znaczy *bolesna*.

Albertyna, imię staro-niemieckie, przerobione z męzkiego *Albert*, znaczy *głośna*, *hałaśliwa*.

Alexandra (1155 r.) **Aleksandrina** (1819 r.) imię greckie, przerobione z męzkiego *Aleksander*, znaczy *niosący pomoc*.

Alicya, przerobione prawdopodobnie ze staro-niemieckiego *Athelis*, znaczy *szlachetna* r. 1105, po francuzku *Alice*, lub *Alix*, po szkocku *Alison*.

Alma, imię szweckie, pochodzi z łacińskiego.

Amelia, pochodzi ze staro-niem., znaczy *niebiańska*.

Anastazya, pochodzi z greckiego, znaczy *wywyższona*, po angielsku *Anstace*.

Aniela, z łacińskiego, znaczy *anioł*, po francuzku *Angelique*, po angielsku *Angela*, *Angelica*, po włosku, *Angelica*, *Angelina*.

Anna, pochodzi z hebrajskiego, znaczy *łaska*, po angielsku *Annie*, *Nanny* lub *Nancy*, po szkocku *Annie* lub *Netty*, po francuzku *Anne*, *Annette*, *Nannette*, po hiszpańsku *Anita*, często używane od roku 1272.

Antonina, od męzkiego *Antoni*, co znaczy po łacinie *kwitnący*, po francuzku *Antoinette*, lub *Toinette*, po angielsku *Antonia*.

Augusta, od męzkiego *August*, znaczy po łacinie *królewski*, *panujący*.

Aurelia, od męzkiego *Aurelius*, znaczy po łacinie *złoty*.

Aurora, imię greckie, znaczy *jutrzenka*.

Barbara, z łacińskiego, znaczy *cudzoziemka*, rok 1474.

Beatrica, Beatrix, Beata, znane od r. 1000, znaczy *błogosławiona*.

Berta, imię staro-niemieckie, znaczy *miła*, *uprzejma*, r. 1143.

Blanche, Blanca, z imienia hiszpańskiego *Bianca*, znaczy *biała*, r. 1245.

Bona, imię łacińskie, znaczy *dobra*.

Brygida, imię staro-niemieckie, znaczy *uczynna*.

Cecylia, z łacińskiego, znaczy *niewidoma*, po francuzku brzmi ono *Cécile*, po angielsku *Cecilia* lub *Cecily*.

Dagmara, imię duńskie, znaczy *jasna jak dzień*.

Dyana, z łacińskiego, znaczy *światło*, r 1251.

Dyoniza, przerobione z męzkiego *Dionisius*, znaczy po łacinie *wzruszona łaską Bożą*, rok 1162, brzmi po francuzku *Denise*.

Dominika, po łacinie znaczy *dzień pański*.

Dora, imię greckie znaczy *dar*, bardzo używane w Anglii.

Dorota, z greckiego *Dorothea*, znaczy *dar Boży*, r. 1487.

Eda, z saksońskiego *Edith*, znaczy *szczęśliwość*.

Eleonora, u Celtów znaczyło *jasno-włosa*, po angielsku *Eleanor*, w spieszczeniu *Lenora*, po szkocku *Annora*, po irlandzku *Nora* lub *Norah*.

Eliza, imię to biorą zawsze za spieszczenie *Elisabethy*, *Elżbiety*, lecz tak nie jest. *Eliza* jest to imię staro-niemieckie, znaczy *ukryta mądrość*. Brzmi po łacinie *Alesia*, z czego we Francyi urobiono dawniej *Alise*, dziś *Elise*.

Elżbieta, imię hebrajskie *Elisabethe*, znaczy *mój Bóg zwyciężył*, po angielsku spieszczone na *Betty*, *Betsy*, *Libby*, *Lizzie*, po szkocku *Elspeth*, *Elsie*, po francuzku *Lisette*, po niemiecku *Else*.

Emilia, pochodzi od etruskiego imienia *Aemylia*. Ponieważ język ten prawie zupełnie zaginął, nie można więc dokładnie wiedzieć co oznacza, prawdopodobnie pochodzi od lilii, jest to jednakże tylko przypuszczenie.

Emma, imię staro-niemieckie, znaczy *matka*, rok 1000.

Ernestyna, imię staro-niem., od męzkiego *Ernest*, spieszczone na *Tine*, po francuzku *Ernestine*, *Tototte*.

Eudoksya, imię greckie, znaczy *dobra sława*.

Eugenia, imię greckie, znaczy *dobrze urodzona* r. 1234.

Eulalia, imię greckie, znaczy *wymowna*.

Eufemia, imię greckie, znaczy *melodyjna*, r. 1272, po szkocku *Effie*.

Eufrozyna, imię greckie, znaczy *wesoła*.

Euzebia, imię greckie, od męzkiego *Euzebiusz*, znaczy *poważana*.

Ewa, imię hebrajskie, znaczy *dająca życie*.

(*Dokończenie nastąpi.*)

MIŁOŚĆ.

Przerzucamy karty książki nie dzisiejszej, a jednak zawsze świeżej, pełnej życia, świadczącej, iż autor wejrzał w głąb dusz i serc ludzkich, umiał je odgadnąć, podsłuchać, podpatrzeć, a potem wszystkie swe spostrzeżenia wyrazić w poglądach i aforyzmach świetnych, zdumiewających czytelnika.

Mamy tu na myśli dzieło Michelet'a „L'Amour". W licznych edycyach rozpowszechniony oryginał francuzki świadczy wymownie o wziętości dzieła, jest dowodem, iż autor trafił do przekonań ogółu, nie narzucał mu poglądów fałszywych, obcych.

Michelet w dziele tem przedstawia się nam, jako idealista najczystszej wody, marzyciel uwielbiający miłość, jako najpiękniejsze, najpotężniejsze uczucie. Traktuje zarówno stronę duchową, jak i fizyczną człowieka — ale zawsze jest poetą na wskróś, ani na chwilę nie spada do tego poziomu, któremu hołduje cała prawie dzisiejsza beletrystyka francuzka.

Jakaż ogromna różnica pomiędzy poglądami tego poety-obserwatora, uwielbiającego miłość i kobietę, a całym szeregiem najnowszych realistów i naturalistów, robiących eksperymenta na ludziach... a właściwie na ich naturze zwierzęcej. U nich, z małymi wyjątkami, zeszło uczucie do rzędu instynktów tak pospolitych, iż kto wie, czybyśmy się nie mogli szlachetniejszych dopatrzeć u zwierząt...

Smutny to objaw. Dla przyszłych historyków będzie studyum ciekawem — dla nas, współczesnych widok to bolesny.

Z jakąż przyjemnością zwracamy się do idealisty Micheleta, jak skwapliwie czerpiemy w niem tchnienie ożywcze, szlachetne...

To było pobudką, do przypomnienia niektórych zdań jego, poglądów i aforyzmów. Sądziliśmy, iż one nigdy się nie postarzeją.

* * *

Prawo rzymskie powiada: — „Małżeństwo to wspólna zgoda". Tak, akt to woli, oddającej się bez przymusu; zapis wieczysty serca, zupełne poświęcenie się słabszego, który cały, z duszą i ciałem oddaje się mocniejszemu, nie zatrzymując nic. Jest to ryzyko wszystkiego dla korzyści... w przyszłości.

* * *

„Kobieta to dom" — mówi rozumne prawo indyjskie, lecz lepiej powiada indyjski poeta: „Kobieta jest bogactwem!" Świadomość życia pozwala dodać: „przedewszystkiem, kobieta uboga".

Nie ma nic — przynosi wszystko!

Powołaniem kobiety, jest poznanie serca mężczyzny, dopomaganie mu. Żywiona przez niego chlebem, ona go żywi miłością.

* * *

Czyż bogactwo w małżeństwie jest przestępstwem? Nie! to tylko pewna, że małżeństwo, w którem kobieta jest bogatszą od męża, najczęściej bywa nieszczęśliwem.

Mąż chciałby ukształcić żonę podług swych pojęć, idee swe w nią zaszczepić — ona mu swemi imponuje, opierając się na bogactwie, nie chce zmienić swego sposobu życia, przyzwyczajeń. Nie chcąc ich naginąć, zastosować do wymagań męża— musi wywoływać walkę. Życie wówczas nie stanie się porozumieniem, zlaniem dwojga dusz. Każda chwila przynosi nowe wymówki. Więc nie ma tam małżeństwa.

Ażeby kochać, trzeba się rozumieć!

* * *

Pewna bardzo piękna wdowa, miła i dobrego serca, rzekła do kogoś:

„Mam pięćdziesiąt tysięcy liwrów dochodu, przyzwyczajenia zwykłe, nic nadzwyczajnego. Kocham pana i zrobię to czego będziesz żądał... pan jesteś mym dawnym przyjacielem; czy znasz moje błędy?

— Jeden, jesteś pani bogatą.

* * *

Rousseau miał racyą, robiąc różnicę pomiędzy kobietą a damą...

Rzecz to stanowiska? Fortuny?

Wcale nie.

Być damą, znaczy mieć „dystynkcyą serca". Widziałem praczkę, która była damą, więcej aniżeli damą, bo mogła by zająć miejsce na tronie.

* * *

Częste u kobiet zmiany strojów i klejnotów, są dowodem kaprysu serca chorego. Czy chcą zatrzymać miłość, pracując nieustannie nad zmienianiem się? One robią to samo w wielkiem świecie, w opuszczeniu, w chatce w Alpach.

Lecz czy wychodzą dobrze na tym sposobie? Sądzę, że nie. Wzruszenia serca zużywają się w ciągłych przemianach.

Kobieta zbyt często zmieniająca swą powierzchowność, zmusza do powiedzenia jej: „Moja droga, nie zmieniaj się tak nagle. Dlaczego zmuszasz moje wierne serce do ciągłej niewierności? Wczoraj byłaś tak ładną! Zaczynałem się oddawać tej zachwycającej kobiecie. A dzisiaj gdzież ona jest? Znowu zniknęła... Ah, jak żałuję. Nie zmuszaj mię pokochać ciągłe zmiany."

Strój to ważny symbol. Nie mam nic przeciw nowościom, lecz przemiana niech nie będzie zbyt gwałtowną. Zupełne przemiany nie dozwalają się oryentować miłości! Ozdoby, świadczące o dobrym smaku, kwiatek dobrany do pory roku, wstążka, koronka, to niby nic, często nas zachwyca. Te zmiany nieznaczne, każą mówić sercu:

„Zawsze ta sama, zawsze wierna."

* * *

Dobra żona, to dobry los; jeśli to posiadasz, jesteś szczęśliwy; możesz niedbać o resztę.

Gdy odjeżdżasz na czas pewien, bierzesz z sobą miłość i wolność, a możesz powiedzieć: „ziemia do mnie należy."

Jeśli zostaniesz przez miłość wolnym od pragnień zbytku i wielkości, możesz się śmiać z tych biednych milionerów, wiecznie pragnących wrażeń, możesz pogardzić tą masą nienasyconą i rzucić im słowa: „Kocham, więc mam czego mi potrzeba!"

* * *

Praca i kobieta — oto droga do wolności, a zatem przyjdzie wszelkie inne dobro.

PRZEGLĄD LITERACKI.

W pocie czoła, z dziennika dorobkiewicza, spisał *J. I. Kraszewski*. Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, 1884 r.

Niestrudzony w swej literackiej twórczości, darzy nas Kraszewski co rok sporym zasobem powie-

ści, których ważną cechą jest, iż są zajmujące. Uwaga ta na pozór może się wydawać błahą, a jednak szczególny na nią kładziemy nacisk, bo pięćdziesiąt kilka lat pisać, a nie stracić fantazyi, pewnej świeżości, umieć wytwarzać coraz to nowe fabuły powieściowe, tak aby nigdy czytelnika nie nużyły — na to trzeba sił i talentu niepospolitego. Ów dar zajmującego opowiadania, to potęga Kraszewskiego.

„W pocie czoła", jest obrazkiem bezpretensyonalnym, istny dziennik dorobkiewicza, który spisuje dzieje swego długiego, mozolnego, a uczciwego życia.

Znaleziono go pod płotem, przy umarłej kobiecie; nie wiadomo wieśniaczce, czy szlachciance. Ochrzczono go i dano mu imię Rocha, a nazwano Pokrzywką, bo pokrzywy były mu kolebką, gdy go ludzie podjęli. Żył w chacie wieśniaczej, potem we dworze, jako chłopak kredensowy, potem poszedł do szkół, uczył się i uczył drugich, zarabiał ciężko, aby tylko pchać się dalej. Następnie był przy boku jednego z swych bogatych uczni, potem odbywał praktykę u adwokata, wreszcie dostał kawałek ziemi i został adoptowany przez Pokrzywnickiego. Ożenił się i dziwnie mu się szczęściło. Dorobił się dwóch wiosek i gotowizny miał dla córek sporo — a zawsze szedł drogą uczciwą, ani na chwilę nie zapomniał o tem, co winien Bogu, ludziom i sobie.

„W pocie czoła" pisane jest z werwą, humorem i z tą znajomością ludzi i charakterów ośmnastego wieku, którą obok Kraszewskiego nie wielu może się poszczycić.

Szczegółów wiele, a wszystkie kierowane jedną myślą, utworzenia wyraźnego charakteru uczciwego dorobkiewicza. Obok Pokrzywnickiego jest kilka postaci bardzo udatnie narysowanych.

Chwostowski, Salomon, Porfyry, ks. Brzeski, Karpowicz, mecenas Świerzbiński i wiele, wiele innych, to figury nakreślone jednym zamachem pióra, nieraz rubasznie, a zawsze żywo, plastycznie, z wielką prawdą.

Całość opowiadania zajmująca, charakterystyka życia i obyczajów jest jednym dowodem więcej, jak Kraszewski umiał wniknąć w ducha epoki, na tle której nieraz już się rozgrywały jego powieści.

Z pod naszej strzechy.

Brzmi muzyka dokoła, coraz gwarniej, weselej się bawimy... trzeba się spieszyć, bo maluczko, a surowy Popielec zatrzaśnie drzwi na wszystkie spusty, zamknie walce, polki i mazury z nieubłaganym spokojem przypomni, żeśmy z prochu powstali i w proch się obrócim...

Karnawałują wszyscy. Tańczą nogi, tańczą serca, tańczą głowy, kto wie, może nawet i mózgi. Rozkarnawałowała się także i prasa. Gdzie rzucisz okiem, sprawozdanie z balu, wieczorku wełnianego, zabaw prywatnych...

Roztańczonym dziennikarzom dopomogła wielce do uciechy i zabawy pewna Paryżanka, żona deputowanego, pani Clovis Hugues. Przez czas jakiś, pisma nasze pełne były jej ciekawej sprawy; zajmowano się nią równie żywo, jak losem Gordona w Egipcie, a z pewnością więcej, aniżeli przepowiednią Nostradamusa. Ten ostatni zagroził nam końcem świata, a więc musiał mieć intencyą zasmucenia nas; dzienniki zapomniały się i ogłosiły jego przypowiednię podczas karnawału — lecz precz z groźną marą. Mamy w każdym razie rok czasu do życia, bawmy się więc i szukajmy wrażeń.

Otóż pani Hugues była przez kilka tygodni najznakomitszą dostarczycielką wiadomości, wstrząsających nerwy bardziej, aniżeli wszystkie romanse razem wzięte. Tam podejrzywamy autorów o zmyślenie — tu życie prawdziwością nas zaciekawia.

Dzienniki, chcąc sobie zaskarbić łaskę publiczności, podawały na wyścigi sprawozdania szczegółowe o zajściu i przebiegu procesu pani Hugues, która od razu stała się najsławniejszą osobistością w Europie.

Fakt to był istotnie ciekawy, godzien uwagi, mimowoli nasuwający poważne myśli i zdania, nie o samej sprawie tylko, lecz o życiu społecznem we Francyi, czy gdziekolwiek. U nas poczęto sobie inaczej i oto co „Niwa" bardzo słusznie pisze o zachowaniu się naszych dzienników w obec wspomnianego wypadku:

„Nie mielibyśmy nic przeciwko zaznajamianiu publiczności naszej z tego rodzaju typowemi sprawami, gdyby krótkie z nich sprawozdania służyły jedynie za punkt wyjścia do poważniejszego traktowania przedmiotu, do zastanawiania się nad warunkami, w jakich odbywa się dzisiaj wymiar sprawiedliwości, oraz krytycznej oceny dróg, na które wkracząć poczyna sądownictwo karne, nawet w wielkich ogniskach świata cywilizowanego. Odtwarzanie jednak przed oczami czytelnika, z całym aparatem zewnętrznym, skandalicznego procesu; przytaczanie bez komentarzy wszystkich jego szczegółów, pozostawiając czytelnikowi możność wyprowadzania z nich wniosków, jakie za stosowne uzna, wydaje nam się nietylko rzeczą niewłaściwą, ale wprost szkodliwą.

Że się takie sprawozdanie podoba, nie wątpię, że może w dzienniku zastąpić wybornie nowelkę, powiastkę, lubjaki inny pomniejszy utwór beletrystyczny, to rzecz pewna. Ale właśnie tem gorzej, bo czytać go będzie bardzo wiele osób, nie podejrzewając nawet, że ten utwór z literatury życiowej zaczerpnięty, zawiera w sobie niebezpieczną bardzo truciznę. Bo i przedstawmy sobie przeciętnego czytelnika, a zwłaszcza czytelniczkę, pod wrażeniem świeżo przeczytanego procesu pani Hugues. Ma on przed oczyma swemi dwie postacie: z jednej strony kobieta młoda, piękna, uczciwa i kochająca, najlepsza żona i troskliwa kilku dziatek matka spotwarzona, oskarżona o najohydniejsze czyny, skompromitowana w oczach całego Paryża, a co gorsza, w oczach własnego małżonka, zagrożona w tem co ma najdroższego, bo w honorze; z drugiej — nikczemny oszczerca, który dla zysku spotwarza niewinną, pisze otwarte anonimy z oskarżeniami o czyny, o których myśl sama wstrętem przejmuje i robi wszystko, ażeby nadać tym oskarżeniom jak najwięcej rozgłosu, drwiąc sobie z sądu i prawa. Obok tych dwóch postaci oburzony czytelnik dostrzega policyę i sąd, a więc instytucye społeczne, które wiedząc o dziejącem się bezprawiu, nie są dość silne, aby mu przeszkodzić. Rzecz naturalna, że w sercu czytelnika rodzi się prędko sympatya do ofiary tego bezprawia, nienawiść do człowieka, który go się dopuszcza i niechęć do instytucyj, które mu przeszkodzić nie umiały. Uczucia te, ale tylko uczucia, stanowią wskutek tego criterium do oceny czynów tych ludzi i wszystkiego, co czyny owe za sobą sprowadziły. Zrozpaczona, a raczej zdenerwowana kobieta, zabija człowieka, który ją skrzywdził, a więc dopuszcza się zbrodni; ale czytelnik nie spostrzega się, że w tej chwili role się zmieniają: dla niego zabójczyni zostaje ofiarą, która sercem jego owładnęła zupełnie. Niewzruszony jej spokój, zimna krew, brak wszelkiego współczucia dla konającej w męczarniach ofiary zbrodni — nic to nie znaczy; to raczej powiększy niż zmniejszy w oczach czytelnika sympatyą dla broniącej swojego honoru kobiety, bo... „jakże strasznie cierpieć musiała moralnie, skoro to cierpienie, wszelkie w niej kobiece i ludzkie stłumiło uczucia." W taki to sposób zabójczyni, opromieniona aureolą moralnego męczeństwa w oczach wrażliwego czytelnika, zamienia się w bohaterkę, i chyba nie jestem zbyt dalekim od prawdy sądząc, że na 100 czytelniczek, które poznały szczegóły procesu p. Hugues, 90 przynajmniej gotowe byłyby dorzucić ze swej strony jaki listek do wawrzynów, składanych przez „obywateli" Paryża, uniewinnionej zbrodniarce. Cóż to znaczy? — Oto, że w ostatecznej konsekwencyi czytelnik sprawozdawca przychodzi do wniosku, że są jednak w życiu pewne sytuacye, w których człowiekowi pojedyńczemu wolno jest stanąć wyżej ponad wszelkie boskie i ludzkie prawa i być samemu dla siebie najwyższym i jedynie sprawiedliwym sędzią."

Oby głos ten, który skwapliwie powtarzamy, odniósł pożądany skutek.

Pokażmy wszakże i odwrotną stronę działalności naszej prasy. Sporo na jej rachunek dobrego można zapisać.

Oto niedawno podniósł „Kuryer Codzienny" głos w bardzo ważnej sprawie, a nie wątpiemy, iż nie będzie bez echa i dopnie do celu, stanie się bodźcem do przedsięwzięcia, którego doniosłość może być ogromną.

Warszawa posiada 27 ochronek, dla małych biednych dzieci, lecz prawo powiada, iż dziatwa starsza nad lat siedm, nie może z nich korzystać. Na tej też zasadzie, musiało 1500 dzieci ochronki opuścić.

I cóż się z niemi stanie? Bieda dokucza w tym roku bardziej, aniżeli kiedykolwiek, klasy robocze cierpią pod jej uciskiem strasznie. Koniecznem więc jest założenie dla starszej dziatwy przytułków. Kalisz dał dobry przykład w tej sprawie i żywo krząta się około utworzenia takiej instytucyi. Tam znajdą dzieci nietylko dach i schronienie przed zimnem, lecz zarazem praktyczną szkołę, która zapewni im spokojną przyszłość.

Ciężkich rzemiosł zaprowadzać niemożna, przez wzgląd na wiek dziatwy, lecz z pożytkiem można uczyć koronkarstwa i koszykarstwa. Obie te gałęzie przemysłu dają szerokie pole do zarobku i wykształcenia się, obie mają u nas przyszłość.

A więc...

„Ze stanu wielu naszych ochron — są słowa „Kuryera Codziennego" — możemy mieć wreszcie pewność, że i kierunek pod opieką pań naszych — bo któżby śmiał wątpić, iż szlachetne warszawianki mogłyby takiej opieki nie przyjąć? — będzie dobrym. Przytułki przy gorliwem orędownictwie pań naszych, nietylko, że spełnią ważne dla społeczeństwa zadanie, lecz praca w nich, w przyszłości pokryć nawet może znaczną część kosztu ich utrzymania.

Stać nas na zaopiekowanie się starszymi, przyjście w pomoc niedoli ludzi niedołężnych, chorych, zgrzybiałych, lub pozbawionych choćby zarobku; czyż nie stać na osłonięcie tych, których drobne dłonie, wiek dziecięcy opieki tej więcej jeszcze potrzebują."

Przytułku dla dzieci potrzeba Warszawie i potrzeba pilniej, aniżeli każdej innej instytucyi.

W imię tej potrzeby podnosimy głos nasz, przemawiamy gorąco.

Nasze dzieci niech nie będą dziećmi wydziedziczonemi, a raczej niech im przyświeca jasna gwiazda miłości ogólnej, która stanie się ich przewodnikiem w przyszłości.

O przytułki dziecięce nawołujemy, zwracając się do serc dobroczynnych warszawianek i miłujących dobro publiczne obywateli..."

Nie wątpimy, że myśl ta stanie się ciałem. Gwałtowna potrzeba przemawia za nią, a chyba funduszów na urzeczywistnienie nie braknie.

Prawda, bieda jest wielka, lecz nie wszędzie. Wejdźmy do sali teatralnej. Zajęta od dołu do góry, miejsca kupowane na wagę złota od spekulantów, stroje wcale nie ubogie, oklasków miliony—te co prawda nic nie kosztują — kwiatów powódź...

Ha! jeśli mamy na kwiaty, to nas stać i na utworzenie przytułku dla dziatwy cierpiącej nędzę — marnującej czas bez nauki, z którejby w przyszłości mogła mieć kawałek chleba. Grosz dany na wykształcenie dziatwy, to kapitał, zabezpieczający nas w przyszłości od biedy i potrzeby nieustannego myślenia o jałmużnie dla starszych.

Wspaniałomyślnych, szczodrobliwych, a nie szukających rozgłosu mamy wielu. Nie możemy pominąć milczeniem szlachetnego czynu, którego dopełniono w cichości.

Redakcya naszego pisma, otrzymała znaczną kwotę pieniężną do rozdania ubogim, wraz z wskazówkami o kim przedewszystkiem pamiętać należy. Pieniądze te rozdano cierpiącym nędzę wyjątkową, paralitykom, ubogim nauczycielkom, na wpisy uczni, garnących się z zapałem do szkół, wreszcie osobom, które uginają się pod brzemieniem niedostatku, a wstydzą się wyciągnąć dłoń po jałmużnę. Ci są może najbiedniejsi...

Pieniądze te otrzymaliśmy od pani Marty Chudzińskiej, wdowy po właścicielu cukrowni w Pliskowie. Zacna ta niewiasta, chciała w ten sposób uczcić pamięć swego męża, którego całe życie wypełnione było uczynkami szlachetnego miłosierdzia.

W imieniu ubogich, którym łzy otarła, w imieniu tych, których swą pomocą podniosła z nędzy i utorowała drogę do materyalnego dźwignięcia się, w imieniu tych, którzy łakną nauki i głodem przymierając nie opuszczają jej... w imieniu tych wszystkich, niech nam będzie wolno szlachetnej, a hojnej ofiarodawczyni złożyć szczere: Bóg zapłać!

Wsparci będą w codziennej modlitwie wspominali nieznaną im dobrodziejkę, prosząc Boga, by ją długo zachował przy życiu, dla jej i innych dobra...

WIADOMOŚCI Z KRAJU.

*** Jakże to świetną przyszłość ma Warszawa, według przepowiedni nowego, miejscowego Nostradamusa, zamieszczonej w „Dzienniku dla wszystkich".

Otóż niedługo stanie się miastem europejskiem, a rozmiarami swemi dorówna największym stolicom i naturalnie ludność wzrośnie odpowiednio. I tak: za lat 23, t. j. w roku 1908, gród nasz liczyć będzie 968,487 mieszkańców — ale to nic jeszcze; za lat 52 w r. 1934, ludność dosięgnie 2,421,217, to jest bez mała dwa i pół miliona mieszkańców. A nie są to wcale jakieś fantastyczne przepowiednie, albowiem opierają się na rachunku i danych statystycznych.

Otóż w r. 1856 liczyła Warszawa 156,562 mieszkańców, zaś w lat 26 później, w r. 1882 liczba ludności wzrosła o 150 proc. i doszła do 387,395 mieszkańców, jak to wykazał spis jednodniowy. Jeśli więc ludność Warszawy i nadal w tym stosunku zwiększać się będzie, to za lat 52 dosiegnie oznaczonej liczby blizko 2 i pół miliona. Wprawdzie w rachunku tym, znaczna zachodzić może omyłka, z tego mianowicie względu, że przeciąg lat 52 podzielono na dwa okresy, ale nie można go znów uważać za urojenie, bo z drugiej strony w przeciągu zaznaczonych 29 lat, od 1856 do 1882 miały miejsce liczne fakta nie sprzyjające wzrostowi ludności, który przecież mimo to potęgował się nieustannie. Z tej wychodząc zasady, autor świetnej tej przepowiedni, nie lęka się choćby poważniejszych wstrząśnień, czy to zewnętrznych, czy wewnętrznych, sądząc, że niewiele zaszkodzić by mogły rozwojowi naszego grodu. Będzie on postępował nieustannie — tylko niewiadomo czy w oznaczonym stosunku. — Przyczynia się do tego doskonałe geograficzne położenie Warszawy, które przy tak ożywionych obecnie prądach cywilizacyjnych, zapewnia jej wybitne w Europie stanowisko.

Przepowiednia świetna, ani słowa, ale autor jej zapomniał jeszcze podać, choćby w przybliżeniu, jakich rozmiarów dosięgnie wtedy rozległość naszego grodu, w które strony roztaczać się będzie, a chodzi nie o małe powiększenie, skoro ma objąć przeszło sześć razy większą liczbę ludności.

*** Czytamy w „Kuryerze Codziennym":

„Autonomia Finlandyi, zapewnia jej wiele tradycyjnych prerogatyw, do jakich między innemi należy tak zwany „bal konstytucyjny". Nazwa ta pochodzi ztąd, iż bal ten zastrzeżony jest przez konstytucyę, i winien być wydany jednocześnie z otwarciem obrad sejmowych. Wydawany bywa w imieniu panującego, reprezentowanego przez naczelną władzę krajową, a obecnie przez jenerał-gubernatora Finlandyi. Przyjmują w nim udział wszystkie stany, a przeważnie deputowani czterech izb z rodzinami. Wytwarza to nigdzie prawie nie widywaną mieszaninę osób i ubiorów. Obok błyszczących mundurów, czarne fraki, surduty i włościańskie kapoty; świetne toalety dam i bogate brylanty, obok wełnianych sukien mieszczanek — tu i owdzie ukazuje się narodowy ubiór wieśniaczek finlandzkich.

Bal odbywa się w Helsingfors, w pałacu dworskim, którego niezbyt wielkie komnaty, zaledwie mogą pomieścić licznych zaproszonych. W skromnem wewnętrznem urządzeniu wszystko prawie jest krajowe; nawet obrazy wykonane są przez Finladczyków. W r. b. z powodu otwarcia okresu sejmowego, bal konstytucyjny odbył się 22 z. m., obecnych było 2,400 osób. Obowiązki gospodarstwa spełniali: hr. Heiden, jenerał-gubernator i jego małżonka. Hrabia przetańczył poloneza z żoną marszałka krajowego, hrabina z marszałkiem; następnie hrabia tańczył z włościanką, hrabina z włościaninem. Oficyalny ten taniec z przedstawicielami i przedstawicielkami wszystkich sfer społecznych, należy także do miejscowych zwyczajów konstytucyjnych. Bal rozpoczęty o 9, skończył się już o 11-ej, a jak większość zaproszonych przybyła, tak i odeszła piechotą.

WIADOMOŚCI Z ZAGRANICY.

*** Na konkursie ogłoszonym w Washingtonie, co do zaopatrzenia miasta tego w wodę, z pomiędzy licznie dostawionych projektów, utrzymał się przedstawiony przez ziomka naszego, pana Kunkiel i jemu też powierzono przeprowadzenie tunelu wśród skał, na przestrzeni 12 mil angielskich.

*** W Paryżu zawiązało się stowarzyszenie mające na celu wytępienie pojedynków; na czele jego stoi dwudziestu fechtmistrzów. Członkiem stowarzyszenia może tylko zostać człowiek nieposzlakowanej opinii, a nadto biegły w robieniu bronią.

*** W Monachium urządzają w tym roku pielgrzymkę do Ziemi świętej. Podróż tam i z powrotem trwać ma dwa miesiące. Po krótkiem zatrzymaniu się w Loretto, popłyną pielgrzymi do Aleksandryi; ztamtąd udadzą się do Kairu, zwiedzą piramidy egipskie, kanał Suezki, port Said i górę Karmel. W Palestynie pielgrzymi zwiedzą kolejno: Nazareth, górę Tabor, jezioro Genezareth, Samaryę i Sichem, Jordan, morze Martwe, Bethleem i Hebron. W Jerozolimie zabawią tydzień, a z powrotem 4 dni zatrzymają się w Rzymie i będą mieli audyencyę u Ojca świętego. Wracać będą przez Assiz, Florencyę i Medyolan. Koszta podróży wynosić mają dziennie 20 do 40 marek od osoby.

OPIS RYCINY KOLOROWEJ.

Ubranie strojne wizytowe z trenem. Spódnica z przodu u dołu zaszyta w drobne zakładki, z tyłu lekko podpięta, może być noszoną bez trenu. Drapeya szalowa przewiązana z boku, przybrana szerokiemi koronkami. Boczne bryty sukni dane z materyi bogato haftowanej maszynowo; takiż wykład przy bawetowym, aksamitnym staniku, otwartym podłużnie. We włosach rozeta z piór.

Ubranie wieczorowe. Krótka suknia z kolorowej materyi, pokryta całkowicie lekko namarszczonym koronkowym wolantem. Vêtement aksamitne z bertą i kamizelką koronkową, takież paniers od przodu do prawego boku. Włosy wysoko uczesane, przepięte dwoma złotemi opaskami.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Autorce: „Obrazka z życia" i „Humoreski". Utwory Pani nie mogą być drukowane.

Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami i rycina kolorowa.

Дозволено Цензурою. Варшава, 30 Января 1885 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Warszawa, Chmielna Nr 20.

Dodatek.

Opis do N-ru 6.

(*Dokończenie.*)

N. 14. Suknia pokryta koronkami. Krój na arkuszu N. II, fig. 11—16.

Stanik bawetowy sznurowany z tyłu, w górze kwadratowo wycięty uszyty z różowego atłasu, dopełniony jest szmizetką z koronkowego tiulu i takiemiż rękami przewiązanemi w bufy. Spódnica z różowego batystu pokryta falbanami z koronki 18 cent. szerokiej. Draperya z tiulu i koronki podwleczona różowym batystem, układa się z bryta 210 cent. szerokiego, 69 długiego, z przodu zaokrąglonego do 30 centymetrów.

N. 15. Suknia z marszczonym stanikiem.

Ryc. 23 w N-rze 4 przedstawia z przodu stanik, którego przody i plecy mają materyał zwierzchni przemarszczany w równych odstępach. Koronka 10 cent. szeroka garniruje wykrój stanika i służy na wachlarzowe fałdowanie, łączące fartuszkową tunikę przednią, z brytem tylnym spadającym do dołu sukni. Z boków dodane krótkie paniers. Ubranie to było wykończone z jedwabnej gazy i takiegoż repsu.

N. 16. Czepeczek do teatru dla starszej osoby.

Podstawę czepeczka robi się ze sztywnego tiulu, oszywa z brzegów drucikiem, pokrywa od spodu fularem z wierzchu aksamitem, zdobnym wyszyciem z perełek. Brzegi garniruje suta riusza koronkowa; barbki koronkowe suto nafałdowane, spadają z tyłu lub przedłużone wiążą się z przodu.

N. 17. Suknia z przypiętym trenem.

Krótką spódnicę zakończa wolant 35 cent. szeroki u góry złożony w podwójne kontrafałdy, w połowie przemarszczony 6 c. szeroko, niżej zaś puszczony luźno. Fartuszkowa draperya przednia wymaga bryta 120 cent. długiego; tylne bufowanie niedochodzące na 40 cent. do dołu sukni, upięte z bryta 112 cent. długiego, 140 szerokiego. Poniżej buf przypina się tren wszyty w pasek 40 cent. długi, dany z bryta 100 cent. długiego, 150 szerokiego, u dołu wyciętego w głębokie zęby, podgarnirowane bogatą koronkową b a l e j e z ą. Przy sukni z materyi faille heljotropowego koloru, dana była przy draperyi przedniej koronka czarna 18 cent. szeroka. Stanik z okrągłą baskiną, kwadratowo wycięty z przodu, ma dodany z tyłu wysoki koronkowy kołnierz; półdługie rękawy z mankietami koronkowemi.

N. 20. Suknia ze stanikiem z baskiną. Przód patrz fig. 50 na arkuszu.

Na ryc. 20 widzimy ubranie z lekkiej gazy gładkiej i deseniowej, zaś fig. 50 na arkuszu przedstawia suknię z wełnianego materyału „virginie”. Tylne bryty sukni mają u dołu wolant 30 cent. szeroki, ułożony w kontrafałdy, przód zaś i boki garnirowane są naprzemian plisowaniem 20 centym. szerokiem i falbanami marszczonemi 10 cent. szerokiemi, oszytemi koronką 5 cent. szeroką. Draperya dana w górze, układa się z bryta 67 cent. szerokiego, 114 długiego, z boków sfałdowanego ściśle do 18 cent. Z tyłu dany bryt 135 cent. długi, 125 szeroki, którego obydwa brzegi poprzeczne, zebrane w fałdy, wzięte są do góry i wszyte w pasek, z wierzchu dodana bufa z gazy deseniowej, ułożona z kawałka 56 cent. długiego, 63 szerokiego. Karoczko idące od pleców, nie zszyte na szwach, ma wstawione sute kontrafałdy; przody stanika ścięte bawetowo.

N. 24—25. Serwetka z siatki kolorowej. Patrz fig. 47.

Ryc. 25 przedstawia w naturalnej wielkości część serwetki, liczącej w kwadrat 53 cent. i wskazuje rozmiar i grubość oczek siatki stanowiącej tło; fig. 47 daje ósmą część deseniu wyszytego różnemi sposobami: point de toille, point d'esprit, wywodzenie, cerowanie i t. p. Model miał tło z szarego jedwabiu, które po skończeniu było rozciągnięte w ramach i z lewej strony nagumowane; materyał do wyszycia stanowiła filozela, włóczka hamburgska, angielska i jedwab, brane w nitkach całkowitych lub dzielonych na troje lub na czworo, odpowiednio jakim ściegiem ma być wyszycie; na ścieg zwany point d'sprit dzieli się najcieniej.

Opis do N-ru 7.

N. 1—2. Ubrania balowe.

N. 1. Suknia z podpinaną spódnicą.

Na modelu przy sukni lila atłasowej, ubranie fartuszkowe przodu, stanika i rękawów do łokcia, haftowane było na białem tiulu sznelą i stalowemi, szmelcowanemi perełkami. Haft taki zastąpić może aplikacya gotowych, w sklepach z koronkami znajdujących się kwiatów większych i mniejszych, fabrycznie robionych na tiulu sznelą i perełkami, które przyszywa się niewidocznemi ściegami na każdym obranym materyale, na częściach garnirunkowych, lub też na całej draperyi, na rękawach i staniku. Na modelu fartuszkowy garnirunek spódnicy, oszytej 25 cent. szerokiem plisowaniem, miał 15 cent. górnej, a 46 dolnej szerokości. Bryty 140 cent. długie a 105 szerokie, stanowią draperyę boczną, podpinaną sposobem wskazanym na ryc. 1, którą dopełnia z tyłu tren z boków zaokrąglony, mający 200 cent. długości a 251 szerokości. Na staniku z głębokim kwadratowym wykrojem z przodu, plastron mający 15 cent. górnej szerokości, przyszywa się z jednej strony, a z drugiej przypina na kryte haftki. Bukiety z bzu i róż blado-żółtych dopełniają strojne przybranie.

N. 2. Suknia ozdobiona szarfą.

Wolant koronkowy 105 cent. szeroki a 300 centym. długi, z brzegów poprzecznych zeszyty, w koło w górze zmarszczony i w pasek wszyty, stanowi zwierzchnią spódniczkę, z boków trochę w fałdy podpiętą, pod którą podwłóczy się kolorową spódnicę jedwabną, wystającą od dołu i w miejsce plisowania oszytą z brzegu girlandą z róż. Stanik wycięty bawetowy, oszyty koronką i różami i szeroka szarfa z jednej strony przyszyta, z drugiej przypięta do stanika, są tego koloru co spodnia spódnica. Przy co raz bardziej upowszechniającej się modzie szarf, wyrabiane są we wszystkich kolorach wstążki odpowiedniej szerokości, które jednak znacznie drożej kosztują, niż szarfy zrobione z materyi.

N. 3 i ryc. 19 w N-rze 8. Poduszka do kanapy. Haft krzyżowy i kratki ażurowe.

Zwierzchnie pokrycie poduszki mającej 46 cent. szerokości a 35 wysokości, było z żółtawej płóciennej kanwy, na której na środku wyszyty był szlak 13 cent. szeroki, ściegiem krzyżowym i pojedyńczym, jedwabiem ponsowym kordonkowym. Deseń szlaku znajduje się pod N. 8 na dodatku z krojami i deseniami do N. 5 i 6 Tygodnika Mód. Po obydwóch stronach szlaku dane są 7 i pół cent. szerokie pasy kratek ażurowych, robionych filozelą blado-żółtą dwunitkową i cienką nitką złotą, kratkę zakończają po brzegach wązkie szlaczki krzyżowe robione kordonkiem ponsowym. Próbkę kratek i szlaczku dajemy w naturalnej wielkości na ryc. 19 w N-rze 8, gdzie dokładnie wskazany jest także sposób wykonania. Wysłana poduszka wystaje po brzegach 4 cent. za zwierzchnie przykrycie, na te brzegi zachodzi dodana w koło bufa 14 cent. szeroka z ponsowej materyi surah z której także jest spód poduszki. Bufa przesznurowana jest grubym sznurem jedwabnym kremowym, zakończonym żołędziami i związanym w trzech rogach na kokardy. Oprócz tego, jak widzimy na ryc. 3, dwie strony poduszki ogarnirowane są dwoma rzędami 10 cent. szerokiej koronki saskiej złożonej w kontrafałdy.



N. 1—2. Ubrania balowe.

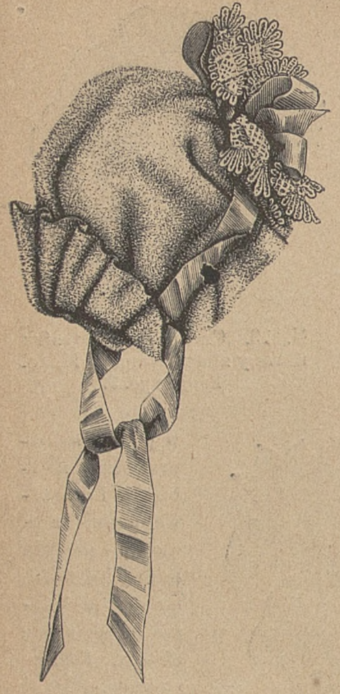
N. 1. Suknia z podpinaną spódnicą. N. 2. Suknia ozdobiona szarfą.

N. 4 i ryc. 34. Peleryna z kapturkiem „Sortie de bal“.

Dwa proste, 50 cent. długie a 62 cent. szerokie kawałki materyału, ścinają się skośnie u dołu do 45 cent. przedniej długości, a z brzegów przednich do 54 cent. górnej szerokości, a proste tylne brzegi zeszywa się z sobą, zostawiwszy od dołu rozporek 7 cent długi. Brzeg górny z przodu i z tyłu gładko, a na ramionach w 7 małych fałdek złożony, wszywa się razem z kapturkiem w pasek 3 cent. szeroki, a 42 długi. Model odrobiony był z pluszu jedwabnego bordo, na lekko podwatowanej jedwabnej podszewce takiego samego koloru.

N. 5 i ryc. 25 w N-rze 8. Kaftanik negliżowy luźno wcinany. Kroj podług ryc. 38 w N-rze 15 z r. 1884.

Dogodny, elegancki model kaftanika, odrobiony był z flanelki ciemno-ponsowej z garnirunkiem z 11 cent. szerokiej koronki wełnianej takiegoż koloru i kokardami z 5 cent. szerokiej, atłasowej wstążki. Przed przykrojeniem podług formy, trzeba z przodów i w obydwóch częściach pleców założyć i zaprasować po trzy fałdy 2 c. głębokie, które następnie do wcięcia w pasie zaszywa się z lewej strony. Pierwsze fałdy przodów przykrywają przyszycie koronki zmarszczonej, w fałdy złożonej i da-



N. 31. Kapotka dla dziewczynki. Patrz ryc. 32 i 8.

N. 13. Czepeczek do teatru aksamitny, oszyty złotą koronką. Krój podług ryc. 9.

Na ryc. 9 dajemy mały, płasko rozłożony model foremki ze wskazaniem fałdek i miary, która w koło oszywa się agremanem i podszywa materyą. Pokrycie stanowi trójkątny kawałek aksamitu, złożony w cztery skośne fałdy. Brzegi oszyte są w koło złotą półcentym. szeroką torsadką, pod którą w górę obrócona gładko naszyta, 3 cent. szeroka koronka złota, dana drugi raz koło twarzy, lekko nadmarszczona.



N. 33—34. Ubrania balowe.

N. 33. Suknia z trenem podpinanym.

N. 34. Suknia z długą draperyą i „Sortie de bal". Zobaczyć tylne upięcie spódnicy na ryc. 17 w N-rze 8. Sortie de bal na ryc. 4.



N. 32. Kapotka dla dziewczynki. Patrz ryc. 8 i 31.

N. 16. Boa z materyału pluszowego, do teatru lub na koncerta.

W miejsce futrzanych, używane są do teatru i na koncerta boa z materyału kolorowego z długim włosem. Model do ryc. 16, mający 125 cent. długości, odrobiony z pluszu ciemnoponsowego, z dodaniem zwężonych końcy oliwkowo-zielonych do cieniu.

(*D. n.*)



N. 42. Suknia ze spódnicą à la paysanne, przeciętą z boku.



N. 35. Gałązka kwiatów z różowej i zielonej szneli na druciku. Zobaczyć wskazówki roboty na ryc. 36—41.

N. 14—15. Kołnierze futrzane.

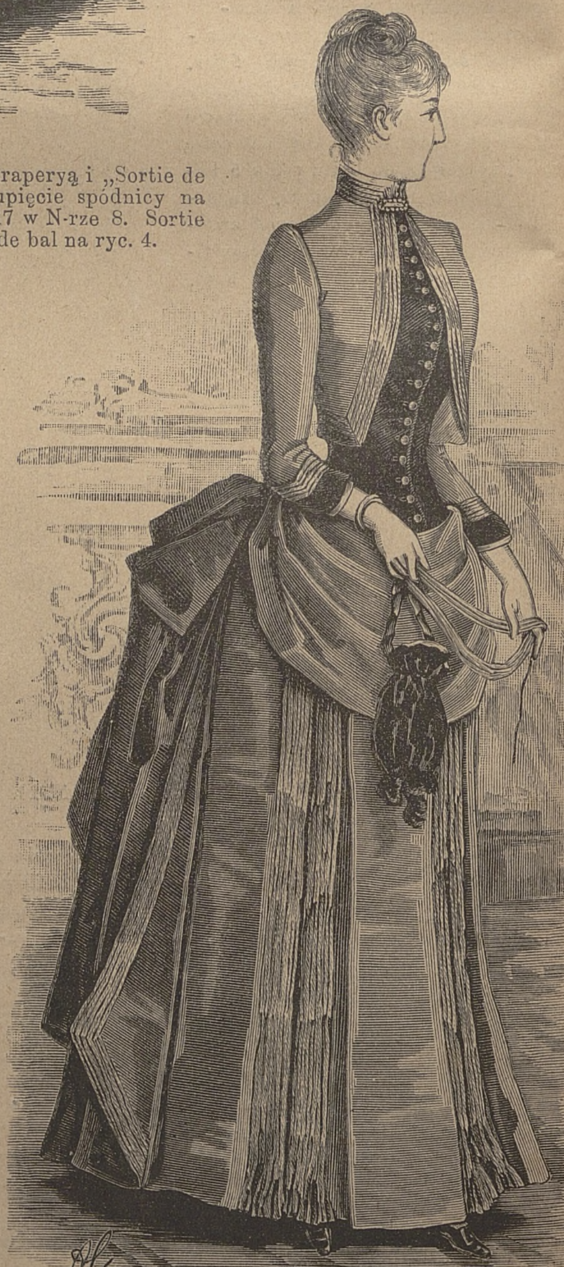
Ryc. 14 przedstawia kołnierz wykładany, dodany do kołnierza stojącego, zapięty na metalową agrafę, przedstawiającą dwa psie łby. Na ryc. 15 szeroki, stojący



N. 36—41. Części kwiatów szenelowych i wskazanie roboty do ryc. 35.

N. 36. Środek liścia.
N. 37. Liść wykończony.
N. 38. Pączek.
N. 39 i 41. Części kwiatu.
N. 40. Kielich środkowy.

kołnierz bobrowy, podszyty jest atłasem i zapięty na haftki, a kokarda z końcami dodana dla ozdoby.



N. 43. Ubranie z krótkim kaftaniczkiem.



Pl. 602.

TYGODNIK MÓD.

W Warszawie.